

uśmiechy. Chodziły wieści, że pan burmistrz, czyli, jak lubił się tytułować pan prezydent, umiał także niezgorzej spekulować i że pewne, najbardziej poszukiwane towary ulatniały się nagle z jego sklepu, jak kamfora, nie wiadomo dokąd.

— Jakaś banda, doskonale zorganizowana, wywozi z naszego miasta, ba! z całej okolicy, środki żywności... Ograbiają nas!...

— Żydz!... — bąknął ktoś.

— Niemcy... — poddał drugi.

— Żydz! Niemcy. Niemcy, Żydz!... Ale to za nadto odódnikowe, nieosobowe... Te łajdaki muszą przecież mieć jakieś nazwiska.

— Mają je z pewnością — potwierdził aptekarz.

— A czy nie przyszło też panom nigdy do głowy zapytanie, co właściwie robi w Łykowie pan Potyrowski?

Pytanie to wypowiedział Władek Koszczyc, z poważniejszą niż zwykle miną.

Burmistrz i jego towarzysze spojrzeli po sobie. Kożuchowski poruszył się niespokojnie na krześle i z ukosa popatrzył na Władka.

— Pan Potyrowski... — wyrzekł wahająco Kaształński, mały, siwy, szczupły człowieczek, rażące przeciwieństwo do swej łęgiej, zamasyżowanej małżonki — moja żona chwali go bardzo.

— Bo to bardzo godny człowiek... — wtrącił pospiesznie Kożuchowski.

— Aha, pańska żona chwali go także... — zauważył ze znaczącym uśmiechem aptekarz — no i prawdopodobnie córka również...

— Zdaje się jednak, że ja i mój kolega moglibyśmy o tym panu opowiedzieć pewne ciekawe rzeczy... prawda, Julku?...

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Łuniewskiego, ale on nie odpowiedział, jakgdyby zupełnie nie słyszał pytania.

Oczy nagle szeroko otwarte, natężone, wbił w postać kobietą w popielatym płaszczku i ciemnozielonej czapeczce, osłoniętej czarną siatkową welonką.

Koło tej kobiety stał młody legionista, podawał jej krzesło, patrzył na nią rozbłyśniętymi, siwymi oczami i mówił coś z poufałym, przyjacielskim uśmiechem.

Za wzrokiem Łuniewskiego poszli i inni. Burmistrz mlasnął pełnemi, czerwonymi wargami.

— Szykowna jakaś facetka!... Kto to taki... Chyba nie tutejsza...

— Jakto, pan prezydent nie zna? To przecież młoda pani Żarnicka.

— Aha! Więc to ta, która...

— Właśnie, ta sama...

— Uuuu!... Cukierek!...

— Ale z pieprzykiem!...

— Panowie, panowie... — miłygował Koszczyc.

— Wodociąg jedzie do Krakowa.

— Ale, że ja też nikt z rodziny męża nie odprowadza...

— A cóż to za jeden, ten legionista? Może jakiś krewny?... — zapytał sędzia dobrołuszenie.

Zabrzmał krótki, ale wymowny śmiech.

— Krewny?... Może brat!... Chyba od Adama i Ewy!... Przypatrzyło się sędzia, jak mu się oczy jarzą!...

— Bierze od niej portmonetkę... Jada widać razem!...

— Taki smarkacz!...

— A cóż to głupia ona szukać sobie starego!

— Chciałbym być na jego miejscu.

— No, myślę!... Tylko wiesz pan, panie mecenasie, żeby to fak usłyszała pańska żona...

— Mąż przy wojsku!... Pięknie!... A młoda żoneczka jeździ sobie z legionistami!

Władek zmarszczył niechętnie brwi. Sam plotkował nieraz o Józii, ale teraz te niewybredne dociepy rzaziły go. Bądź co bądź, jest to przecież mężatka, bratowa Loli.

— Proszę panów — wyrzekł dobitnie — zwracam uwagę, że mówicie panowie o pani Konradowej Żarnickiej!

Słowa Koszczycy wywołały lekką konsternację.

— Plotki zostawić babom — mruknął sędzia.

— A któż to robi plotki?... O! mówi się jak zwykle, w swoim męskim towarzystwie — bronil się aptekarz.

— Lepiej czasem nie mówić — zauważył Władek.

Po nieświeżej bieli obrusa pociekła ciemnowisniowa struga. To pękł kieliszek, z którego Łuniewski pił wódkę.

— Patrzcie... — syknął Julian do Władka — co za obrońca uciśnionej niewinności!...

— A cóż ty, chłopie, masz taką minę, jakbyś się miał wściec za pół godziny! — rzucił półgłosem Koszczyc.

— Panno Stasiu! Wódkę!... — huknął Łuniewski na całą salę.

Jurek tymczasem usadowił Józję, jak mógł najwygodniej, umieścił koło niej na ziemi małą ręczną walizeczkę i rzekł:

— Teraz idę kupić bilety.

— Niech pan kupi i dla mnie... — podawała mu portmonetkę.

— Pani zaczeka tutaj.

— Naturalnie... Tylko proszę wracać szybko, bo mi tak jakoś nieswojo w tym tłumie — uśmiechnęła się słodko.

Ogarzył ją promiennym wzrokiem.

— Uwinę się „pieronem“.

Ani jedno drgnienie ich młodych twarzy nie uszło uwagi Łuniewskiego.

Józia spostrzegła go dopiero wtedy, kiedy po odejściu Jurka, zaczęła się rozglądać po sali.

Koszczyc uklonił się, Julian udawał, że nie widzi młodej kobiety, Władek przysunął się bliżej do kolegi i trącił go lekko.

— Julek... Żarnicka...

— Widzę... — odburknął.

— Jakto? I nie kłaniasz się?...

— Dajże mi święty spokój z babami!

Władek pokręcił głową.

No, no — powiedział tylko, ale jednocześnie pomyślał:

— To on musiał od niej dostać porządnego przytka w nos.

Józia, zmieszana i obrażona, wzrok utkwiła w brudnej, zdeptanej, poplutej podłodze poczekalni. Czuliła, że siedzi jak „na cenzurowanem“ i niecierpliwie czekała powrotu Jurka z biletami.

Przeniknęła jej myśl, że Łuniewski zazdrośny jest o Jurka, że pewnie wyobraża sobie...

— A niech sobie myśli co chce. Co mnie to obchodzi. Prześladował mnie swoją miłością, a teraz zachowuje się jak ostatni gbur. Dużo sobie robię z jego ukłonu. Jurek... o Jurek to zupełnie co innego.

— A Konrad? — załopotalo jej nagle w mózgu — co Konrad powie o tej podróży!... Może będzie niezadowolony... może będzie bardzo zły.

Zatrwożyła się i zdumiała nad własną nierozwagą. Że też jej to wcześniej nie przyszło do głowy.

Więc może wrócić?... To byłoby najrozsądniejsze, ale tak się nie chce... tak się nie chce...

— Proszę pani, mam już bilety — zabrzmiał jej nad uchem głos Jurka.

Podniosła głowę i spojrzała na legionistę. Nie, niepodobna się cofać... Jurek pomyślałby, że żem zwaryowała... A zresztą...

— A zresztą nie robię przecież nic złego — uspakajala się. — Jadę do Krakowa, do ojca, a że Jurek jedzie ze mną... To i cóż... Dawny znajomy i taki pocziwy... i taki dzieciak jeszcze.

— Kupił pan? — rzuciła mu zupełnie wesołym tonem.

— A jakże... — podawał jej portmonetkę.

— Ale trzecią klasę?

— Trzecią, trzecią, tak jak pani kazała.

— A ile bilet do Krakowa kosztuje? — zapytała, biorąc portmonetkę z jego ręki.

Jurek bąknął w odpowiedzi niewyraźnie parę słów i zaczął zawzięcie majstrować coś około rzemienia swego plecaka. Dzał z wewnętrznego lęku, aby Józia nie zechciała skontrolować zawartości sakiewki i nie dowiedziała się przedwcześnie, że z niej nie ubył ani halerz.

Ale Józia nie należała bynajmniej do osób praktycznych i systematycznych i portmonetkę schowała do torebki, nie otwierając.

— Jak dłu o jeszcze do pociągu?

— Już powinien być.

— W tej chwili do sali wszedł portyer i gromkim głosem jął wykrzykiwać:

— Proszę państwa wsiadać!... Pociąg do Krakowa!... Odjazd za minut pięć!

W sali wszczął się gorączkowy ruch. Pasażerowie zwartą masą ruszyli ku drzwiom, tłocząc się jeden przez drugiego, nadeptując sobie na nogi i obijając boki pakunkami.

Jurek pochwylił walizeczkę Józii, ujął młodą kobietę pod rękę i zrezygnie przeprowadził ją na peron przez tłum przejeżdżnych.

Poczekalnia opróżniła się. Pozostały w niej tylko zmęczone, zaspane kelnerki i otyła, sapiąca bufelowa i pozostali goście, przy długim, środkowym stole.

Łuniewski przeprowadzał wzrokiem młodą

parę, a oczy pociemniały mu tak, że wydawały się prawie czarne.

— — — — —

— No, tutaj pojedziemy spokojnie i wygodnie aż do samego Krakowa — mówił Jurek, umieszczając na siatce pakunki.

— A jeżeli ktoś wsiądzie po drodze?

— Nie wsiądzie...

— A skąd pan wie?

— Tak się już ułożyłem z konduktorem. Nikt nie wejdzie. Będzie pani mogła się przespać...

— A to doskonale! Wyborny z pana opiekun — uśmiechnęła się pogodnie Józia.

W myśli jej nie zmagaczył nawet cień jakiegos złego podejrzenia. Czuliła, że Jurkowi zupełnie zaufać może i to sprawiało jej ogromną przyjemność.

To tak dobrze ufać komuś bezwzględnie, nie obawiać się i czuć koło siebie troskliwą, a bezinteresowną opiekę.

Ten mały, słabym płomykiem gazowym oświetlony przedziałek trzeciej klasy, wyławał się jej rozkosznym schronieniem, do którego nie może wtargnąć pani Żarnicka, a Jurek miłym i bliskim niby brat.

Wypowiedziała głośno swoje wrażenie.

— Bardzo tutaj dobrze i wygodnie... Wie pan co, panie Jurku, jaka to szkoda, że pan nie jest moim bratem. Zawsze marzyłam o tem, żeby mieć brata.

Złote iskry zapaliły się w siwych źrenicach legionisty. Długie, przeciągłe spojrzenie zatopilo się w cudnych, niebieskich oczach młodej mężatki — spojrzenie bardzo serdeczne i trochę smutne.

Jurek nie odpowiedział nic i rozpląawszy sznury plecaka, jął wyciągać stamtąd jakieś paczuszki.

Józia rozgościła się w przedziale, zdjęła czapkę, płaszcz, rękawiczki, przyglądała rozwichrzone trochę włosy i uchyliła do połowy szybę okna, aby odświeżyć chłodnem powietrzem nocnem duszną, parną atmosferę wagonu.

Pociąg mknął już z jednostajnym turkotem kół. W powietrzu, poza oknem, migwały snopy złoto-czerwonych iskier.

Młoda kobieta usiadła tuż przy oknie, głowę oparła na swoim, zawieszonym na haku, płaszczu i rozmarzonym głosem powtórzyła:

— Dobrze mi... Bardzo lubię jechać pociągiem, a dzisiaj szczególnie.

— Ale czy pani przypadkiem nie głodna? — zagadnął trochę nieśmiało Jurek, spoglądając na wyjęte z worka pakunczki.

Rozśmiała się głośno, szczerze, swobodnie, wesoło. Dawno już tak się nie śmiała.

— A wie pan, że doprawdy zaczynam być trochę głodna! Ale cóż robić! Muszę się obejść smakiem i słinką aż do Krakowa. Nie wzięłam ze sobą nic na drogę.

Jurek zacisnął mocno zęby, żeby nie wykrzyknąć z gniewem.

— Jakto? To oni nawet nie pamiętali o tem, żeby pani dać kawałek chleba na drogę? Jak oni panią traktują?!

Zdławił jednak w sobie oburzenie i nie wypowiedział głośno żadnej uwagi. Pospiesznie tylko począł rozwijać papiery, z pod których ukazały się kawałki chleba obłożone wędliną, serem, jajami ugotowanymi na twardo.

Widzi pani, a mnie pocziwa Terenia tyle przygotowała zapasów, że dla nas obojga wystarczy, jeżeli pani będzie tak dobra i zechce... Pani mi nie odmówi, prawda?

Józia mimowoli rzuciła spojrzenie na apetyczne kaski. Nie jadła tego dnia kolacy i głód zaczynał jej dokuczać.

— Nie, nie będę pana przecież objadała. Pan pewnie także głodny.

— Jeżeli pani jeść nie będzie, to ja się tego nietylko nie iknę, ale wszystko za okno wyrzucę!

— Ależ to byłoby straszne marnotrawstwo!

— Proszę mnie od niego powstrzymać! No, pani Józio, bo się na sery okropnie, okropnie pogniwam! — groził energicznie Jurek.

— Ejże! Doprawdy? Potrafiłby pan? Na mnie? — miluiko, trochę żalotnie zajrzała mu w oczy.

Twarz chłopca oblała się nagle płomieniem rumieńca. Jurek odwrócił głowę od Józii.

— Co? Już się pan gniewa? W takim razie zabieram się do jedzenia, bo się boję. Ale pan będzie tego żałował, bo panu bardzo mało zostawię!

(Ciąg dalszy nastąpi.)